


**WOJCIECH
KUCZOK**

PISARZ

No i tęskno za mundialem. To naturalny objaw, zwykła depresja poświęceniowa, zwłaszcza że się cokolwiek przejadło. A jakże, mundial jest po to, by się przeżyć, obscenicznie celebrować nadmiar, to wielkie żarcie futbolowe, po którym w normalnym świecie przychodzi czas sjesty i przez miesiąc kibic nie ma po co spoglądać na boisko.

Tęskni się, bo się przywykło do miary czasu odświętnej, do rytmu dnia i nocy podporządkowanego meczom, do tego, że życie toczy się w odstępach między meczami, ba: życie jest jedną wielką przerwą reklamową. Cokolwiek przytrafia mi się w trakcie mistrzostw świata, przybiera zgrzebną szatę drugorzędności, dopiero po ostatnim gwizdku docierają do mnie wszystkie srogie fakty. Zamroczony mundialem nie zauważyłbym wojny, katastrofy nuklearnej, zamiast szukać ratunku, krążyłbym po zgliszczach w poszukiwaniu działającego telewizora. Prawdopodobnie w czasie mundialu nie zauważyłbym nawet, że umarłem - dopiero po finale poczułbym zapaszek lipcowego truchelka i zrozumiałbym, że to mój własny; czas się złożyć do urny. Tym razem jednak to tęsknota spotęgowana żalobą.

To był ostatni mundial. Nie piszę ostatni TAKI mundial, bo nie jestem Infantilny - wiem, że decyzja o przeniesieniu mistrzostw świata na przełom zimy i jesieni wzmocniona rozszerzeniem o jedną trzecią liczby uczestników nie jest rewolucyjna, tylko zabójcza. Pierwsza myśl, która mi zakolatała z morowym wdziękiem grupy trędowatych pątników, kołatać już nie przestanie - mundial umarł. Bo przecież kasa jest w kieszeni właścicieli klubów, to klubowe rozgrywki napędzają biznes przez cały rok; mundiale były dla wielu tylko tolerowanym z zaciśniętymi zębami piknikiem, wydatnie skracającym wakacje najlepszych

futbolistów świata - zmianę systemu rozgrywek i ich zawieszenie na półtora miesiąca trzeba będzie z nich wycisnąć siłą. Marudzenie, negocjacje, szantaże...

Infantino dał mi w gębę prawym sierpem i poprawił lewym podbródkowym, leżę i rżęzę półprzytomnie: mundial umarł, jak żyć? Rozumiem miłosierdzie dla maluczkich, którzy teraz będą mieli używanie - szesnaście dodatkowych miejsc daje nadzieję na awans od Fidzi po Wyspy Zielonego Przylądka, ale to tak jakby fanom agenta 007 chcieć wytłumaczyć, że w najnowszym odcinku James Bond odnajdzie dwóch braci, Hindusa i Szkota, i odtąd już nie będzie musiał dwoić się i troić, tylko koordynować swoje działania w kolektywie superagentów.

Dajcie mi święty spokój; od dziś żyję przeszłością, tomy historii mundialowych (najlepiej autorstwa Andrzeja Gowarzewskiego) nabierają nowej mocy - to już nie tylko czar wspomnień umajony statystyką, to albumy bezpowrotnie utraconych radości. Już nigdy nie będzie (takich) mundiali, „już nigdy księżyc nie będzie tak pięknie wisiał”, że pozwolę sobie zacytować wieszczka.

Sobotni sukces najlepszej w historii reprezentacji Belgii oglądałem w fast foodzie na obrzeżach Charleroi, bo tam akurat wypadła przerwa w podróży. Przyłotniskowa dzielnicca uciech zastygła w smutku, znużone kurtyzany szydelkowały w negliżu, wystawiając swe wnętrza w witrynach zamtuzów, ulice opustoszały, jednorękim bandytom opadła jedyna ręka, bo samcze popędy i nałogi zostały na dwie godziny przetransferowane z hazardu na Hazarda i jego koleżków; ospała Anglia oddała medal za friko. Wczoraj też w drodze, w pustawej knajpie pod Berlinem, gdzie tubylcy wciąż półprzytomni ze zdumienia po meczu z Koreą, zamiast podziwiać francusko-chorwackie fajerwerki finałowe, półprzytomnie szukali na boisku Niemców - a nuż im się tylko przyśniło, że odpadli w grupie. „Już nigdy nasza reprezentacja nie będzie miała takich wyników” ... jak Niemcy. ●